

Operowa podróż w czasie

AUTOR: ŁUKASZ RUDZIŃSKI

***Wehikuł czasu* w reżyserii Tomasz Mana** to opera, która wprowadza młodego widza w świat muzyki, a także wyposaża go poprzez teatralną formę w treści edukacyjne. Czy ma jednak szansę przebić się do młodzieży?

■ *Wehikuł czasu* zainaugurował nowy sezon artystyczny Opery Bałtyckiej w szczególnym momencie. W odróżnieniu od wielu innych instytucji kultury, Opera Bałtycka dopiero 21 sierpnia, po półrocznym zamknięciu gmachu dla widzów, wróciła do grania swoich produkcji. Najnowsza premiera to wyjątkowe przedsięwzięcie – światowa prapremiera opery Francesca Bottiglieri wyreżyserowana przez Tomasza Mana, od strony muzycznej przygotowana i poprowadzona przez samego kompozytora. Szczególna jest też hybrydowa forma przekazu, bo oprócz stu pięćdziesięciu widzów na widowni Opery Bałtyckiej, spektakl można było oglądać online w czasie rzeczywistym dzięki transmisji „na żywo”. Widowisko kierowane jest do młodego widza. Jego ważnym zadaniem jest przekaz edukacyjny, stąd w materię przedstawienia wprowadzono atrakcyjne doświadczenia fizyczne, co poza samymi walorami muzycznymi dzieła Bottiglieri miało zachęcić niepełnoletnią publiczność do zgłębiania świata opery, kojarzonego przede wszystkim ze znacznie dojrzałszymi odbiorcami.

Dzięki muzyce Bottiglieri i librettu Justyny Skoczek trafiamy do pracowni Pana Teofila, który konstruuje maszynę przenoszącą ludzi w czasie. Przy okazji nauczyciel fizyki opowiada swoim uczniom – Antkowi i Monice – o załamaniu światła, objaśnia mechanizm powstawania pary wodnej i przybliża swoją teorię na temat podróży w czasie. Antek – młody chłopak z deskorolką i przyłbicą na głowie (ta pozostała w spektaklu po okresie, gdy artyści

przygotowywali role w przyłbicach) – nieufnie spogląda na dziewczynę, którą do „męskiego” naukowego świata dopuścił nauczyciel, ale godzi się z wolą Pana Teofila i podejmuje z Moniką współpracę. Gdy Pan Teofil zapadnie na zdrowiu i trafi do szpitala, szansą na jego uratowanie będzie wcielenie jego marzenia w czyn i skorzystanie z wehikułu czasu.

Scenografia Zuzanny Kubicz składa się z trzech ruchomych ścianek, które w odpowiednim zestawieniu posłużą za przestrzeń pracowni Pana Teofila, trzynastowiecznego pałacu lub szpitala z przyszłości, do którego trafia w końcu Antek w poszukiwaniu lekarstwa dla wynalazcy wehikułu czasu. Przekaz wizualnie wzmacniają animacje autorstwa Mateusza Kozłowskiego. Do podróży w czasie służy osobliwa konstrukcja przypominająca z jednej strony koło cyrkowe, z drugiej charakterystyczne bicykle, z trzeciej zaś kołowrotek znany z klitek dla gryzoni. „Przemieszczanie się w czasie” odbywa się w uroczym anachronicznym sposób – na konstrukcji wehikułu zapalają się lampki diodowe, a bohater przebiera nogami w powietrzu opierając się na zwisających z góry podłokietnikach. Taka dowcipna metafora postępu, stworzona w prymitywnym mechanizmie, okazuje się prostą, skuteczną metodą przenoszenia akcji w czasie i przestrzeni.

Według tego klucza przygotowano również kostiumy postaci. Bohaterów z naszej teraźniejszości wystylizowano na lata osiemdziesiąte, tak popularne we współczesnych serialach (*Stranger Things*, *Dark*), puszczając przy tym

oko do filmowych klasyków (*Powrót do przyszłości*). Personel szpitalny z przyszłości nosi osobliwe maski, wyraźnie inspirowane charakterystycznymi maskami z ptasim dziobem, używanymi przez lekarzy podczas pandemii dżumy w XIV wieku. Z kolei kostium osobliwej postaci Karalucha, towarzyszącej Antkowi przez niemal cały czas w różnych epokach, jawnie nawiązuje do stroju królewskiego błazna. Nie zawsze tego typu zabiegi się sprawdzają, jednak żartobliwa zabawa kostiumami bohaterów jest ciekawą próbą stworzenia języka komunikacji z młodym widzem.

Paradoksalnie jednak największe wrażenie na widzach robi to, co powstało niejako mimochodem i było nie tyle zamysłem reżysera czy scenografki, a koniecznością podyktowaną obostrzeniami związanymi ze stanem epidemii. By zachować dystans między muzykami, Orkiestrę Opery Bałtyckiej trzeba było wyprowadzić z orkiestronu i znaleźć jej miejsce w przestrzeni sceny lub widowni. Ponieważ koncepcja scenograficzna wykluczała usadowienie muzyków na scenie, zdemontowano pierwsze dziewięć rzędów widowni, by przeszło czterdziestoosobowa orkiestra mogła znaleźć się tuż przed oczami widzów. Dzięki temu można było podziwiać muzyków i pracę dyrygenta w dużo większym stopniu niż zazwyczaj. Z kolei soliści musieli przebić się przez ścianę dźwięku, z czym właściwie w komplecie poradzili sobie bardzo dobrze.

W kameralnym spektaklu śledzimy losy zaledwie kilkorga bohaterów. Najciekawszą rolę



fol. Krzysztof Mystkowski / KFP / Archiwum Opery Bałtyckiej w Gdańsku

kreuje tenor Sebastian Mach jako Antek. Jego przyjemny dla ucha głos uzupełniony został wiarygodnie oddaną młodzieńczą ciekawością świata i chłopięcą zapalczywością. Mach właściwie nie potrzebuje deskorolki (używanej tu jako atrybut młodości i chłopięcości) oraz spodni „trzy czwarte”, by przekonać młodego widza do swojego bohatera. Wyrazistości w śpiewie i aktorstwie brakuje za to jego scenicznej partnerce Monice (mezzosopranistka Magdalena Wachowska), przygaszonej i nie do końca odnajdującej się w zazwyczaj krótkich epizodach, niedających artystce zbyt wielu szans na rozwinięcie skrzydeł.

Ciekawym zabiegiem było zaproszenie do podwójnej roli Pana Teofila i naukowca Witełona, którego Antek odwiedza w przeszłości, barytona kojarzonego przede wszystkim z teatrem musicalowym – Piotra Płuskę. Aktor zgodnie z przewidywaniami wprowadza na scenę inną energię niż pozostali i z powodzeniem mieści się w konwencji ekscentrycznego naukowca-wizjonera, nie wpadając przy tym w manierę ani banał. Pan Teofil ma oczywiście rys ojcowski, co Piotr Płuska subtelnie podkreśla troską i odpowiedzialnością za młodych podopiecznych, ale wyczuwa się w nim emerytowanego rockandrollowca. Jego chorobę oddano bardzo obrazowo za pomocą szpitalnej kroplówki na stojaku, z którą zboleły bohater kilkakrotnie pojawia się na scenie.

Dodać do tego trzeba postać Ochroniarza, granego przez członka Chóru Opery Bałtyckiej, tenora Pawła Fausta (chętnie obsadzanego w epizodach charakterystycznych) oraz pozostałych członków występującego w ograniczonym składzie chóru. Niestety dla chóru

przewidziano jedynie efektowne wokalizy, wykonywane po bokach sceny. Szkoda, bo potencjał tego zespołu można byłoby wykorzystać w dużo większym stopniu. Ostatnim, najbardziej zaskakującym elementem inscenizacji Tomasza Mana jest Karaluch (Marcin Marzec). To mim tworzący imponujący teatr ruchu w drugim i trzecim planie. Jego nienazwana i niezdefiniowana postać niczym cień towarzyszy poczynaniom Antka i minie sporo czasu, zanim okaże się, że to personifikacja karalucha wypuszczonego z pudełka – jednego z bardziej kuriozalnych momentów libretta Justyny Skoczek, niewnoszącego nic istotnego do materii dzieła Francesca Bottigliera. Marcin Marzec (z wykształcenia aktor lalkarz) świetnie radzi sobie z zadaniem wypełnienia statycznych momentów spektaklu i inscenizacyjnych dziur. Momentami kradnie show pozostałym i skutecznie odwraca uwagę od mętnej fabuły spektaklu.

Bardzo ważnym bohaterem *Wehikułu czasu* jest również Orkiestra Opery Bałtyckiej, która wykonuje ilustracyjną, ale bardzo różnorodną, bogatą w brzmienia oraz muzyczne cytaty (m.in. z *Trędowatej* Wojciecha Kilara) operę Bottigliera. Muzyków nie zdeprymował nietypowy dla nich układ orkiestry i pełna transparentność wobec widzów. Zespół świetnie wywiązał się ze swoich zadań, prowadzony pewną ręką przez kompozytora. Trzeba przyznać, że Bottigliero okazał się równie dobrym kompozytorem, co dyrygentem, więc muzycznie *Wehikuł czasu* Opery Bałtyckiej prezentuje się bardzo okazale. Co istotne, muzyka, choć nie najłatwiejsza w odbiorze, nie jest hermetyczna, niezaznajomiona z muzyką operową

i muzyką nowoczesną widza raczej zacieka, niż zniechęci.

Sam pomysł, by zmierzyć się z edukacyjnym spektaklem operowym dla młodego widza, jest godny pochwały. Tyle że trudno określić, do jakiej konkretnie publiczności jest on skierowany. Dla dorosłych melomanów cała historia, prowadzenie akcji (wraz z gwałtownym jej rozwiązaniem) są zbyt infantylne, dla młodzieży licealnej produkcja Opery Bałtyckiej będzie za mało atrakcyjna, choć komunikatywna na poziomie scenografii i kostiumu, z kolei dzieci z ostatnich klas szkoły podstawowej niewiele zrozumieją z zaprezentowanych tu doświadczeń fizycznych czy niuansów akcji, ale chłonąć mogą atmosferę widowiska. W całość, pomimo prościutkiej struktury, wkrada się dużo chaosu, potęgowanego enigmatyczną postacią Karalucha i niemelodijnymi frazami śpiewanymi przez solistów. Również przez to wiele kwestii śpiewanych pozostaje niezrozumiałych, jednak soliści po chwili streszczają wyśpiewane kwestie w partiach mówionych, co przy dużej koncentracji umożliwia uchwycenie sensu i rozeznanie w gwałtownych, choć bardzo naiwnych zwrotach akcji.

Trudno *Wehikuł czasu* nazwać spektaklem operowym *sensu stricto*, choć reżyser Tomasz Man wyraźnie z operą flirtuje. Gdańska prapremiera pozostaje interesującą wariacją na temat opery, adresowaną do młodych widzów. Taki pierwszy kontakt z teatrem operowym, z uwagi na liczne bodźce (m.in. muzycy na pierwszym planie, intrygujący mim, rozwiązania sceniczne, bogata warstwa brzmieniowa), może być zachętą do kolejnych wizyt w Operze Bałtyckiej. I oto przecież chodzi. ■